

Widziane zza Atlantyku czyli trochę sporcie, choć niekoniecznie niepolitycznie. (Część 6)

Wczoraj udałem się na mecz NBA - Los Angeles Lakers v. Sacramento Kings. Miało być nudno, bo Kings grają słabo, a Lakersi w tym roku mierzą na mistrza. Ale jak to w sporcie bywa, niespodziewanie trafiłem na niesłychane widowisko.



Po trzech dogrywkach Kings pokonali faworytów 141 : 137. Trzy dogrywki, zmiany akcji, fantastyczne trzy pogonie Kings za wynikiem - w sumie poziom może nie najwyższy, ale emocje przednie. Nie było mi łatwo, bo sercem byłem za Kingsami, więc radość z wyniku końcowego trzeba było tłumić. Trybuny były jednak wkurzone na wynik końcowy.

Dlaczego byłem za Kingsami?

Po pierwsze dlatego, że jakoś nigdy nie polubiłem Lakersów. Zawsze jak jestem w LA, chodzę na Clippers, a na Lakersach byłem tylko raz - kiedy grali z Celtics. Każdy kto zna historię NBA, wie o co chodzi.

Po drugie, w LAL gra LeBron James, który obecnie stroi się w pióra pierwszego forfrontera BLM, Antify i na każdym kroku atakuje ludzi, o moim kolorze skóry. Jest po prostu typowym, skrajnym rasistą.

W poprzednim meczu w Indianapolis, zachował się jak c...a, bo ktoś coś mu powiedział z trybun i on zmusił do usunięcia ludzi z meczu.

Oczywiście białych.

No i zrobił z siebie znowu wielkiego bohatera walki o wyzwolenie czarnych.

Fajnie było oglądać, jak w decydujących momentach wczorajszego meczu, LBM kompromitował się na potęgę, bo zawiódł we wszystkich najważniejszych momentach. Nie trafiał seriami, gubił piłkę i wkurzał kolegów z drużyny swoimi beznadziejnymi solówkami, a ostatecznie nawet trybuny miały go dosyć po tych "popisach". Jest jednak jakaś minimalna sprawiedliwość :-)

Jak więc widać w dzisiejszej Ameryce, nawet jak człowiek wybierze się na mecz, to wpada w wiry polityki. Nic nie jest politycznie neutralne.